

Pierwszy krok w chmurach

Jerzemu Ćwiertni

W sobotę centrum miasta wygląda tak samo jak w każdy inny dzień tygodnia. Jest tylko więcej pijanych; w knajpach i barach, autobusach i bramach — wszędzie unosi się zapach przetrawionego alkoholu. W sobotę miasto traci swoją pracowitą twarz — w sobotę miasto ma pijaną mordę. Natomiast w centrum miasta, w sobotę, nie ma ludzi, którzy lubią obserwować życie: stać w bramach, włóczyć się po ulicach, siedzieć na ławce w parku godzinami, i to tylko po to, aby za lat dwadzieścia móc sobie przypomnieć, że tego to a tego dnia widziało się mniej lub bardziej dziwny traf życiowy. Tak jak wysłańcy chadzający jeszcze podczas okupacji w czerwonych czapkach, tak jak handlujący suchym piaskiem, jak podwórzowi śpiewacy o przepitych tenorach — w centrum miasta wymarli obecnie obiektywni obserwatorzy życia.

Obserwatorów można spotkać jedynie na przedmieściu. Życie przedmieścia zawsze było i jest bardziej zagęszczone; na przedmieściu w każdą sobotę, kiedy jest pogoda, ludzie wynoszą krzesła przed domy; odwracają je tyłem i usiadłszy okrakiem, obserwują życie. Upór obserwatorów nosi czasem znamiona genialnego obłądu; czasem siedzą w ten sposób przez całe życie i nie widzą nic prócz twarzy obserwatora z przeciwka. Potem umierają z głębokim żalem do świata, z przekonaniem o jego szarzyźnie i nudzie, gdyż rzadko kiedy przyjdzie im na myśl, że można podnieść się i pójść na sąsiednią ulicę. Obserwatorzy życia na starość stają się niespokojni. Miotają się, patrzą na zegarki; jest to jeden z śmiesznych nawyków starych ludzi — pragną ratować czas. W pewnym okresie chciwość życia i wrażeń staje się u nich silniejsza niż u dwudziestolatków. Dużo gadają, dużo myślą; uczucia ich są dzikie i tępe zarazem. Potem gasną szybko i spokojnie. Umierając wmawiają wszystkim, że żyli szeroko. Impotenci chwalą się sukcesami u kobiet, tchórze — bohaterstwem, kretyni — mądrością życia.

Pan Gienek — z zawodu malarz pokojowy — od czterdziestu lat mieszkał na Marymoncie i od tyluż lat obserwował życie swej dzielnicy. Owej soboty pan Gienek także siedział przed swoim domem w ogródku i bezmyślnie patrzył w ulicę. Od czasu do czasu spluwał i oblizywał spieczone wargi; wygasający dzień był upalny i dręczący. Pan Gienek był rozdrażniony; nie zdarzyło się nic ciekawego w dniu dzisiejszym, nikt nie złamał ręki, nikt nikogo nie pobił i pana Gienka ssało uczucie pustki i nudy — kopnął psa, który nawinał mu się pod nogę, i ponuro ziewając patrzył na ulicę. Była pusta, przejeżdżające z rzadka samochody

podnosiły tumany rozparzonego piasku. Kiedy stracił już całą nadzieję na ujrzanie kawałka życia, uczył, że ktoś trąca go w ramię. Podniósł senne oczy i zobaczył swego sąsiada, Maliszewskiego.

— Chodź pan — powiedział Maliszewski.

— Gdzie?

— Niedaleko.

— Po co?

— Chcesz pan coś zobaczyć? — powiedział Maliszewski.

Był to niski człowiek o dobrodusznej twarzy i chytrych oczach. Ruchy jego — mimo pozornej ociężałości — były szybkie i zwinne jak ruchy młodego kota.

— Co jest? — zapytał pan Gienek; ziewnął, był zmęczony upałem.

— Chłopak — powiedział Maliszewski.

— I co z tego?

— Satyra — powiedział Maliszewski. — On jest z dziewczyną. Już pan rozumiesz?

— Jasne — rzekł pan Gienek. Podniósł się; w serce jego wstąpiła nadzieja. Zapytał z ożywieniem: — Ładna?

— I ładna, i młoda — rzekł Maliszewski. — Mówię panu, dobra robota tam odchodzi. — Nagle zniecierpliwiał się: — Idziesz pan czy nie? — zapytał.

— Nic z tego nie będzie — powiedział pan Gienek. — Zanim tam dojdziemy, to oni skończą. Mówię panu, że nic z tego nie będzie.

— Oni nie mają po pięćdziesiątce tak jak pan — powiedział Maliszewski. — Mogą się bardzo długo bawić w ten sposób. Ja jak byłem młody, to też mogłem się w ten sposób bawić godzinami. Naprawdę tak było. Wstąpimy po mojego szwagra i podskoczmy tam, chce pan? On już wrócił z roboty i chętnie pójdzie z nami. O, patrz pan, już idzie!

Rzeczywiście, ulicą szedł młody, tęgi mężczyzna. Rękawy koszuli miał podwinięte, w zębach trzymał trawkę. Oczy jego były senne i drwiące, powieki — ciężkie.

— Heniek — zawołał Maliszewski — pozwól tu na chwilkę!

Heniek zbliżył się i oparł o płot. Czoło jego było mokre od potu.

— Cześć — powiedział. — Co u pana, panie Gienu?

— Heniek — powiedział Maliszewski — chodź z nami.

— Gorąco — powiedział Heniek; oblizał wargi i westchnął:

— Nie ma czym oddychać. W taki upał nawet świętemu by nie stanął. Gdzie chcecie skoczyć?

— Byłem na działce — rzekł Maliszewski. — Widziałem chłopaka z dziewczyną.

— Szmata? — zapytał Heniek. Wypluł trawkę, potem zerwał nową i przygryzł ją mocniej zębami.

— Skąd — powiedział Maliszewski. — Mówię ci: młoda i ładna.

— Możemy podskoczyć — powiedział Heniek. — Ty mnie znasz: ja lubię popatrzeć na życie. Jeśli dziewczyna będzie brzydka — zwrócił się do Maliszewskiego — to ty coś dzisiaj postawisz.

Ruszyli i szybko poszli wśród działkowych ogródków. Ludzie przychodzili tu po pracy, aby doglądać swych kartofli, pomidorów i marchwi. Teraz jednak było pusto: parny, drętwy dzień zmęczył wszystkich — ludzie siedzieli w domu.

— Duszno — powiedział Heniek. — Ja nic nie mogę robić w taki dzień. Głowa mnie boli cały czas.

— Tamtym też chyba gorąco — powiedział pan Gienek.

— Myślę — rzekł Maliszewski. — My ich ochłodzimy. Tak, Heniek?

— W zeszłym roku — powiedział Heniek — tutaj też przychodził taki jeden gość z dziewczyną. Całe lato tu przychodzili.

— I co?

— Nic. Pewnie nie mieli mieszkania.

— Pobrali się? — zapytał z wysiłkiem Gienek; marzył o szklance zimnego, gorzkawego piwa.

— Nie wiem. Może i tak, że się pobrali. Też była ładna dziewczyna.

— Blondynka? — zapytał znów Gienek; nic a nic go to nie obchodziło. W dalszym ciągu czuł dręczącą pustkę i niesmak.

— Brunetka — rzekł Heniek. — Pamiętam jak dziś. Ten facet był blondyn. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego taka ładna dziewczyna chodzi z takim łachudrą.

— Nie wiem — mruknął pan Gienek. Splunął gęstą śliną. Był zły na Heńka: przypomniał mu, że on sam ma brzydką i dość głupią żonę. Powiedział: — Pewnie jakaś szmata.

— Może?... Teraz cicho — rzekł Maliszewski. Poszedł przodem, oni ruszyli za nim wolno, starając się nie robić hałasu. Było już szarawo: słońce uciekało, na trawie kładły się

błękitnawe cienie. Maliszewski w pewnym momencie odwrócił głowę i zawołał cicho: —
Chodźcie!

Podeszli na palcach kilka kroków i zobaczyli chłopaka z dziewczyną. Leżeli obok siebie. Dziewczyna oparła swoją głowę o ramię chłopaka i przytuliła się do niego całym ciałem. Leżeli zmęczeni miłością i upałem, byli młodzi i ładni oboje — jedno ciemne, drugie jasne. Sukienka dziewczyny była uniesiona; miała długie, mocne brązowe nogi.

— Ładna — rzekł Heniek. — Bardzo ładna.

— Mówiłem — powiedział szeptem Maliszewski.

Stali w milczeniu: pan Gienek znów oblizwał wargi i pomyślał o swojej żonie z dreszczem nagłego wstrętu. Maliszewski uśmiechnął się głupkowato. Heniek jeszcze bardziej opuszczył ciężkie powieki i przestępował z nogi na nogę. Nagle zapytał z rozdrażnieniem:

— Robimy coś?

— Ty — powiedział Maliszewski. — Zrób im coś takiego, żeby się nie pozbiali ze śmiechu do końca życia. Ty to możesz zrobić, Heniek.

— Heniusz — powiedział pan Gienek — najlepiej ich nastraszyć. — Przytknął palcami i powtórzył: — Ona jest strasznie ładna. Już dawno nie widziałem takiej lalki. Jeszcze dziecko. Nie powinni tego robić. — Nagle zniecierpliwził się i rzekł do Heńka: — Zrób im pan coś, bo jak nie, to ja im bombę zasunę.

— Czekaj pan — powiedział Heniek. — To już lepiej ja.

Patrzył chwilę na brązowe uda dziewczyny i na twarzy jego malowała się męka. Potem wyszedł zza drzewa i stanął przed młodymi. Zmrużywszy oczy, rzekł:

— W tatę i mamę się bawicie? Smacznego!

Maliszewski i pan Gienek wybuchnęli śmiechem. Chłopak zerwał się na nogi i wyjąkał:

— Czego pan chce?

— Niczego — powiedział bardzo wolno Heniek. Stał przed chłopakiem i kołysał się na nogach. Gryzł w dalszym ciągu trawkę i splotował zielonkawą śliną. Potem powiedział:

— Uważaj, jak jedziesz, kochany. To ci przyszedłem powiedzieć. Zawsze uważaj jak jedziesz.

Maliszewski wyszedł zza drzewa i stanął obok Heńka.

— Ładna dziewczyna — powiedział patrząc na nią burymi oczkami. — Ja bym sam chciał taką zapoznać. Może się zapoznamy, proszę panią.

— Idiota — powiedziała dziewczyna. Stała za chłopakiem; była czerwona i zdenerwowana; pan Gienek patrzył, jak drżą jej szczupłe plecy, i raz jeszcze pomyślał ze wstrętem o swojej brzydkiej, grubej i nieforemnej żonie.

— Ty, ty, szmata — powiedział Maliszewski; oczy nabiegły mu krwią z wściekłości. rzekł szybko, jakby się dusząc: — Ty jesteś zwyczajna kurwa, rozumiesz? Ja mam córkę starszą od ciebie, ty kurewko.

— Niech pan stąd odejdzie — powiedział chłopak, błagalnie patrząc im w oczy. — Ja pana proszę, niech pan stąd odejdzie. Myśmy panu niczego nie zrobili. Ja pana strasznie proszę.

— Kogo ty prosisz, Janek? — powiedziała dziewczyna. — Tego starego durnia?

— Zamknij swojej pani mordę — powiedział Heniek — bo inaczej ja jej zamknę. I sam też nie pajacuj. Mówię ci, zamknij jej mordę.

— Sam masz mordę — powiedziała dziewczyna. Patrzyła na niego z pogardą. Była nieprzytomna ze zdenerwowania, lecz usiłowała się roześmiać szyderczo. — Bydlak — powiedziała i wybuchnęła płaczem.

— Ej, ty — powiedział Heniek i szarpnął ją za rękę. — Komu ty wymyślasz? Przychodzisz się tutaj puszczać i jeszcze coś mówisz?

Chłopak szarpnął się; uderzył Heńka w twarz — raz i drugi. Stało się to tak szybko, że Heniek zdążył tylko zamrużyć oczami. Lecz w następnej chwili złapał chłopaka za włosy i trzasnął twarzą w swoje kolano. Potem uderzył go pięścią w usta i rzucił na ziemię.

— Dosyć, proszę klienta? — zapytał. — Jak nie dosyć, to ja mogę klienta obsłużyć dodatkowo. Taryfa ulgowa; tu jest bardzo miły cmentarz. — I wybuchnął stekiem najplugawszych obelg. Zamknął oczy, lecz ciągle widział brązowe, długie nogi dziewczyny.

— Chodź, Janek — powiedziała dziewczyna. Otarła chłopakowi twarz z krwi. Rzekła do nich: — Policzymy się jeszcze. — I kiedy odeszli już na parę kroków, krzyknęła histerycznie: — Jesteście stare szmaty, nie mężczyźni!

Wracali do domu. Znów szli wśród ogródków działkowych.

— Parno — powiedział Heniek. — Prawdopodobnie, że będzie padać. — Westchnął i rzekł: — To była ładna dziewczyna. Dlaczego jej powiedziałaś, że jest kurwa? Przecież jej nie znasz. Skąd mogłeś wiedzieć?

— Ja przecież nie powiedziałem, że ona jest taka — rzekł Maliszewski. — To ty powiedziałaś.

— Ja?

— Ty.

— Nie wygłupiaj się. Ja jej wcale nie znałem.

— Ja ją znałem — Powiedział Maliszewski. — Ja już ich tutaj widziałem nie pierwszy raz. Oni się bardzo kochają.

— Co będzie dalej? — zapytał pan Gienek.

— Nie wiem, co będzie dalej. Ale wiem, że oni z sobą chodzą. I wiem, że oni dzisiaj pierwszy raz z sobą.

— Skąd? — zapytał leniwie pan Gienek.

— Słyszałem, jak ją prosił. I on się bał, i ona się bała. Słyszałem, jak się namawiali. Bali się dziecka, tak mówili. Ale chyba bardziej siebie.

— Tak zawsze bywa ten pierwszy raz — powiedział Heniek. — Ja też się bałem.

— Każdy się bał tego pierwszego razu — powiedział Maliszewski. — Ale po co ty go zaprawiłeś?

— Sam chciałeś.

— Nie wiedziałem, że to tak wyjdzie. On do niej tak dziwnie mówił...

— Jak?

— Nie pamiętam.

— Chmurzy się — powiedział pan Gienek.

— On właśnie coś mówił o chmurach — powiedział Maliszewski. — Jakiś wiersz.

Mówię wam, oni się kochają.

— Już teraz nie będą się kochać — powiedział pan Gienek. — Będą siebie mieli dosyć na zawsze. Po takim czymś nie będą mogli patrzeć na siebie. Niepotrzebnie to wszystko wyszło.

— Ja już wiem — powiedział Maliszewski. — Przypomniało mi się. On tak jej mówił, że jak on ją tego, to będzie ich pierwszy krok w chmury. On to mówił, tylko że do wiersza. A ona tylko: "Boję się. Boję się" i płakała.

— Może się bała bólu?

— Nie myślę — rzekł Maliszewski. — Nie myślę, żeby się bała bólu. To przychodzi potem. Życie, inni ludzie, plotka. Ale ten pierwszy raz, to naprawdę jak w chmurach. Zakochani niczego nie widzą.

— My też? — zapytał Heniek.

— Oni teraz już nie będą się kochać — powiedział pan Gienek. — Ja sam wiem, że jakby mnie coś takiego spotkało, tobym już potem nie kochał dziewczyny.

Zmarkotniał nagle: znów ssała go pustka. Wyszli z ogródków i znów szli ulicą.

— Nie — powiedział Heniek. — Oni już teraz nie będą się kochać. Mnie też spotkało kiedyś coś takiego. I nie kochałem już potem tej dziewczyny.

— Każdego z nas spotkało kiedyś coś takiego — powiedział Maliszewski. — Ale po co ty mu dałeś w japę?

— On mnie pierwszy uderzył — rzekł Heniek. — Zajdziemy na to piwo?

— Możemy zajść. Ta dziewczyna to już chyba nie przyjdzie.

— Chyba nie — powiedział pan Gienek. — I za co pan ją tak nazwał?

— Moją dziewczynę też tak ktoś kiedyś nazwał — powiedział Maliszewski. — I jak Boga kocham, do dziś nie wiem za co.

— I nie kochałeś się pan już potem?

— Nie — powiedział Maliszewski. Milczał, potem rzekł z nagłą złością: — Dajcie mi spokój, do cholery! Nie wierzę w żadną miłość. Kobiecie swojej też nie wierzę. Nikomu nie wierzę.

— Głupia sprawa — powiedział Heniek. Spojrzał na niebo i powiedział: — Chmurzy się. To jak on tam mówił?

— Zdaje się, że krok w deszcz czy coś takiego — powiedział zmęczonym głosem Maliszewski. — Chodźcie na to piwo... Albo o deszczu, albo o burzy... Nie pamiętam. Niczego nie pamiętam. Nie chcę niczego pamiętać. Gdybym nie pamiętał, nie byłoby tej całej awantury.

— Będzie jutro deszcz — powiedział Heniek.

— Zawsze w niedzielę pada deszcz — powiedział pan Gienek. Skrzywił się: raz jeszcze pomyślał o swojej ohydnej żonie, o chłopaku, o dniu jutrzejszym, o ślicznej dziewczynie, o jej długich, brunatnych nogach, o jej piersiach, o jej czerwonych, świeżych ustach, o jej opalonym, silnym karku, o jej zielonych przerażonych oczach i powtórzył bełkotem, gdyż musiał coś powiedzieć: — W niedzielę zawsze pada deszcz...